Nr. 12. Warszawa, dnia 8 (20) Marca 1872 roku. ROK VIII.

OPIEKUN DOMOWY.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

Biuro Redakcji: w Warszawie, ulica Chmielna (blizko Nowego-Świątu), Nr. 3 (nowy).

Cena prenumeraty:

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

W Warszawie:
rocznie rs. 3 kop.—
Półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie — „ —
miesięcznie — „ 25

Serya trzecia

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w Warszawie w księgarni Ferdynanda Hösicka ul. Senatorska Nr. 496; w Poznaniu u Leitgebera; we Lwowie u Wilda Karola; w Żytomierzu u Budkiewicza księgarza.

LICHWIARZ

OBRAZEK MIEJSKI.

Ma i zbrodnia swoje pałace.
(Napis na drzwiach lichwiarzy).

Przy ulicy... stał wielki dom, o 3-ch piętrach z ogrodem, czystym obszernym dziedzińcem, pięknie wyświeżony, z oknami z szkła mlecznego, prawdziwe pieścidełko.

Lecz czy dusza właściciela była tak czystą?... niestety!...

Na 1-em piętrze od frontu, mieszkał niejaki Cywuński — człowiek niesłychanie punktualny, miły, słodki, grzeczny, sama dobroć.

Z wiecznym uśmiechem na ustach, kłaniał się wszystkim uprzejmie, najuprzejmiéj i najwięcéj jednak lokatorom suteren i facjat.

— Są to perły, mawiał do znajomych. Biedak, to żniwo dla porządnego gospodarza, płaci regularnie, przymusowo, lub dobrowolnie, a mieszkania takie zawsze zajęte. Za granicę nie wyjeżdża, na bogatych krewnych nie liczy; pogańsko prawie czci domowy spokój, przywiązuje się ślepo do najmniéj cennéj bagatelki, a zastawi nawet duszę, byle uniknąć — zajęcia i Komornika.

Pan Cywuński na tych biedakach już sporo zarobił i z nich to podobno zebrał fundusz na postawienie kamienicy.

Pewnego dnia, rankiem wczesnym, pięknie ubrany choć blady jegomość zadzwonił do drzwi naszego znajomego.

Porajski, tak się nazywał, ów blady pan, spodziewał się spotkać u lichwiarza z nadzwyczajnemi ostrożnościami i ze zdziwieniem, ujrzał przed sobą drzwi otwarte, a co większa, wszedłszy daléj uderzył go *komfort* prawdziwie pańskich salonów.

Już się chciał cofnąć, gdy nagle w pięknym szlafroku pojawił się sam gospodarz, znał go z widzenia, więc też szybko pochwycił wyciągniętą rękę i szczerze uścisnął.

— Cóż to zacnego paniska sprowadza? odezwał się Cywuński.

— Potrzeba, drogi panie, potrzeba.

— Hm! karnawał! Ba, ale pan dobrodziéj masz żonę.

— Chora obecnie biédaczka, przerwał rumieniąc się pan Porajski.

— O! biedactwo, cóż to za słabość, niebezpieczna?

— Nie przyszedłbym tutaj inaczéj.

— Pozwólże pan daléj, a może cygarko. Co? wcale dobre — prawdziwe *Londres*.

Gość zajął miejsce na kanapie — gospodarz *rozłożył sie* wygodnie w fotelu.

— Lampka wina nie zawadzi, prawda, trochę wcześnie, to filiżaneczkę czekolady.

Rozmowa rozpoczęła się dość żywa, — Cywuński umiał zachwycić dobrym humorem i dowcipem.

Porajski nie śmiał przerywać.

Po dobrym kwandransie, zdobył się nareszcie na odwagę.

— Chciałbym prosić o pożyczkę.

— Z miłą chęcią — jakaż pewność?

— Moja pensja.

— Którą zaaresztują.

— Mam przytem kilka przedmiotów.

— Aha! zegarek, brosza i sreberko, mówił Cywuński ważąc wszystko w rękach. I — rzekł, wiele?

— 60 Rubli.

— Na jaki czas?

— Na pół roku.

— Niech pan pisze — oto papier i pióro. *Ja, niżéj podpisany, wiesz pan formę, winienem okazicielowi — rs. 120...*

— To za wiele!

— W takim razie, podrzyj pan, nie pożyczam inaczéj.

— Łaskawy Panie, to dwa razy tyle.

— Dziwny Pan jesteś! Pożyczam gotówką 60 rs., — dorożki na przejazd do Pana i do Biura, boć przecie przekonać się muszę co posiadasz i wiele bierzesz pensyi, małe honorarja stróżom i woźnym — potem przez sześć miesięcy, co pierwszego, te same kursa — dalej straty, korzyści, bo innemu mniéj znanemu wypożyczyłbym na potrójny procent, spodziewane pozwy, choć sądzę że nieprzyjdzie do tego, rozprawa sądowa... wynagrodzenie Obrońcy, akty Komornika, zejścia, zajęcia, ogłoszenia, licytacje, wiele pan uważasz mogą wynosić — około 40 rubli — dodawszy do kapitału uczyni rs. 100 — od téj kwoty na pół roku procent 20 rs., — nie licząc już mitręgi — więc żądam umiarkowanego zysku.

— To ostatnie pańskie słowo?

— Ostatnie.

— Więc żegnam.

— Do miłego niewidzenia się, dodał lichwiarz i najgrzeczniéj odprowadził Porajskiego aż do drzwi.

Po jego wyjściu, uśmiechnął się, zatarł ręce, przejrzał się w lustrze, robił jakieś miny — włosy przygładził, wąsy pokręcił — potem ubrał się wcale okazale i — wyszedł na — samołówkę.

* * *

— Dlaczego smutny jesteś Władziu, mówiła młoda kobieta do siedzącego z podpartą głową Porajskiego.

— Ja, smutny, mylisz się kochanie, głowa mię tylko cokolwiek boli.

Wstał, ucałował żonę, długo ją pieścił, potem nagle niby to przypomniawszy sobie, że już czas do biura wyszedł.

— On cóś kryje przedemną — rzekła, pani Porajska. Nigdy nie był tak skrytym. Widzę, że nie pali ulubionych cygar — zbyt często wydala się z domu — już dwa miesiące nie byliśmy w teatrze, nie oddał mi całéj pensyi — Boże! jakież przypuszczenie! Ach to byłoby okropne.

Wkrótce potem odezwał się dzwonek, a w kilka chwil wszedł pan Cywuński.

— Nóżki całuję pani dobrodziejki, rzekł kłaniając się, mężulko w biurze? A dalibóg, ładna kobietka , pomyślał w duchu.

— Kogóż mam przyjemność?...

— Co to pani nazwisko, głupstwo — człowiek pani dobrodziejko, człowiek stanowi wszystko.

— Pan zapewne do mego męża?

— I tak i nie. Ja właściwie przyszedłem do pani. Bo nigdy powiadają dobra rada, nie zawadzi, a przyjaciel, wtedy upragniony, kiedy w potrzebie. Tylko proszę się nie przerażać, zawołał, widząc że Porajska zbladła. Przy téj sposobności wziął ją za rękę. Aj! Aj! atłasik, rozkosz prawdziwa; rączka jak figa, jakaż to nóżka być musi...

— Więc mężowi memu grozi jakie niebezpieczeństwo? odezwała się usuwając rękę z uścisku lichwiarza.

— Broń Boże. Jak państwo ładnie mieszkają... Widzi pani, rzekł, mrugając domyślnie, zachodzi tu pewien bardzo delikatny a drażliwy interes. Mężulko pani, jeszcze za czasów kawalerskich zaciągnął małe zobowiązanie, to jest niby pożyczkę, maluchny dłużek — bagatelkę. Tylko uważa pani, osoba ta, jest w nagłéj potrzebie, bardzo biedna — nieszczęśliwa.. matka czworga dzieci. Ależ na Boga, Pani nie dobrze. Posunął się żwawo. Rozepnij pani suknię, prędzéj, może wody. Wyciągnął rękę, lecz Porajska cofnęła się

cała zarumieniona, mierząc niewczesnego żartownisia, bystrym wzrokiem.

— Djabelnie ładna, jak mi Bóg miły. Oko królewskie — a szyjka łabędzia.

— Daruj pani, rzekł głośno, wiek mój... włos siwy... oto cała odpowiedź. Nie chciałem pani obrazić. Przebacz mówił znowu biorąc ją za rękę.

— Ja się wcale nie gniewam—byłabym nierozsądną. Ale panie—ta nieszczęśliwa, co mam czynić, wszystko poświęcę.

— Droga pani, jako przyjaciel państwa, chciałem tylko przypomnieć. Oto adres — wręcz go mężowi. Wszak to tylko drobnostka mogąca uratować życie nieszczęśliwéj rodziny.

Lichwiarz powstał, ukłonił się poważnie, najgrzeczniéj, przeprosił za niewczesną wizytę — i prawie niespostrzeżenie wysunął się z pokoju.

* * *

— Pan jesteś nikczemnikiem, zawołał Porajski, wpadając do uśmiechniętego lichwiarza. Pan jesteś!...

— Chwileczkę cierpliwości. Powiedz raczéj dobroczyńcą. Posłuchaj! Przedmioty przyniesione przez pana były własnością żony, ona cię kocha a ty wiem że ją ubóstwiasz. Cóżbyś więc powiedział, sam tylko uważ, cobyś dał za powód, gdyby kiedy, pewnego poranku, żona spostrzegła brak biżuterji. — Panie, takie drobnostki często zatruwają szczęście małżeńskie, niszczą spokój domowy i dwoje istot rozdzielają na zawsze. Dziś, gdy dla spełnienia świętéj powinności, zastawisz owe precjozy, sama ci je poda, sama dobrowolnie pozbawi się ozdoby, bo tem świecidłem, otrze łzy nieszczęśliwéj wdowy. No, cóż pan na to?

— Jesteś szatanem!

— Ha? mój panie, człowiek robi źle, niechże robi i dobrze. I wiesz pan — dam 100 rubli — jeden uśmiech pańskiéj żony, wart sto razy więcéj.

— Co to znaczy? krzyknął wściekły Porajski.

— To, że będąc mężem, dla szczęścia méj żony poświęciłbym miljony. Ona ofiaruje co ma najdroższego, pan, pozwalasz marznąć jéj w zimnym pokoju. To niegodnie panie, to nieuczciwie — ja panu powiadam,—ja lichwiarz — to nikczemnie. Pisz Pan!

W kilka chwil potem — zacny procentowicz — śmiał się wesoło.

— O głupcze! głupcze! dudku! Złapałem cię. Wiem że nie zapłacisz — przepadnie sto rubli — ale.... ha! zapłaci uściskiem,— zacna połowica.

Pieniądz, złoty klucz do serc ludzkich — posiadam złoto — szkoda tylko żem stary — bo w ochrzypłych piersiach — płonie ogień młodzieńczy!

Takie są początki upadku rodzin — oto zródło nieustające występków i zbrodni.

Jak rdza kruszy żelazo, tak dług niszczy spokój domowy — pożyczka, jak gangrena trawi organizm, odbiera chęć do życia — do pracy — wierzyciel to widmo snujące się po nocach — mara goniąca we dnie.

Na złoczyńców ukuto kajdany i zbudowano warowne więzienia — a takie jak Cywuński gadziny pełzają bezkarnie — wciskają się do domów—szeptem złowieszczym usypiają sumienie—złotem kupują krew i życie — karmią się łzami — a skoro wytoczą ostatnią kroplę z serca upadłego człowieka, rzucają go na łup nędzy i zbrodni. Uczciwi ludzie podają im ręce — prawo udziela im opiekę, nędza trwożnie się im u nóg czołga; szczęśliwi ludzie, gdy za czystą krew z pod serca, za znojną pracę, otrzymają kilka zdartych assygnat. A oni śpią spokojnie, trawią wyśmienicie i na własnych domach, z bezczelnością, wypisują nazwę: *obywatela!*

Przewidzieć łatwo, że Porajski ze szponów drapieżnego zwierza wydobyć się nie potrafił. Szczupła pensja nie starczyła na potrzeby domu, tem mniéj na raty lichwiarza. W tem leżała cała potęga Cywuńskiego. Gdy zrozpaczony dłużnik napróżno błagał o zwłokę — zrobił mu pewną propozycję, na którą Porajski zerwał się z krzesła — usta drżały mu wściekłością — poskoczył z zaciśniętemi pięściami.

— Ty! Ty! podły człowieku!

— Więc płać. Ja żądam moich pieniędzy. Inaczéj — coś mu szepnął... poczem Porajski wybiegł z najeżonym włosem.

* * *

— Kłaniam się pani, stópki całuję. Jak się państwo mają — cedził przez zęby Cywuński wsuwając się do pokoju.

— A to pan, rzekła Porajska.

— Już po raz drugi ośmielam się utrudzać panią swoją osobą.

— Przyjście pana — jest mi zawsze przyjemnem — przestroga pana otarła łzy biednéj matce. O dzięki panu, mąż mój przypomniał sobie święte zobowiązanie — nie zawiodłam się na jego sercu.

Lichwiarz rozśmiał się ironicznie.

— Tak, tak; żoneczki wierzą, a mężulkowie płatają figielki.

— Co pan mówisz?

— Pieniążki wydane...

— Więc mój mąż.

— Hm! Hm! Święta prawda, gorzka prawda, ale rzetelna. Pieniążki... to jest biżuterje...

— Pan mię przerażasz. Mów pan na Boga.

— Pożyczono i strwoniono.

— Przebóg!

— Mój Boże, któżby przypuścił, tyle wdzięków, tyle powabów.

— O kim pan mówisz.

— Pani? przebacz mi, może zaślepia mię twoja dobroć, ale zasługujesz na lepszy los. Te usteczka różowe przeznaczone do uśmiechu, te oczy piękne do pocałunku, ta kibić powabna...

— Zapominasz pan, że mówisz do mężatki!...

— Słuchaj więc, — Mąż twój pożyczył odemnie pieniędzy, wczoraj upłynął termin — przyszedłem o ich oddanie. Odda — odejdę, nie — zabiorę i sprzedam. Sprzedam suknią którą masz na sobie, zerwę tę narzutkę, te piękne pierścionki, ten naszyjnik — sfantuję. A jednakże, gdybyś posłuchała mojéj rady.

Porajska blada, strwożona, szybko powstała z krzesła.

— Pani! jeden środek ratunku....

— Zamilcz pan! wiem kto jesteś. Wyjdź ztąd natychmiast.

— Nie tak dumnie, łaskawa pani — to wszystko moje — te stroiki, te gałganki tak cudne na tobie—jutro... posiędę.

— Precz! Precz! Bo zawołam pomocy.

— Jutro inaczéj....

— Precz!

To mówiąc poskoczyła do okna.

— Wychodzę, wychodzę. Zobaczymy kto silniejszy!

* * *

Jest w życiu ludzkiem nie raz chwila, gdzie człowiek żegna się z wszystkiem co ukochał — jest chwila, w któréj jakby na swoim znajdował się pogrzebie — kiedy śmierć za dobrodziejstwo by prawie uważał.

Co kochał — traci — co posiada, oddaje w obce ręce — o czem marzył, zapomnieć musi; — z salonu schodzi do poddasza, od ludzi pędzi w lasy, kryje się przed głosem opinji publicznéj — kona pod hańbą.

Któż mu poda zbawczą rękę—gdzież przyjaciele? Upadły, nie ma przyjaciela — upadły jest zadżumionym, wstrętnym łazarzem — parją społecznym.

Najuczciwsi ci, co mają pieniądze — najrzetelniejsi ci, którzy dowody cnót towarzyskich składają... w listach zastawnych!

* * *

— Więc się skończyło wszystko! rzekł Porajski, gdy ostatnie krzesło wyniesiono na ulicę. Zostałem sam w tych pustkach.

— Wszak ja jestem mężu, odezwał się cichy głos wchodzącéj żony.

— Ty! Ty mnie nie opuściłaś! Dobrowolnie zaprzedajesz się nędzy i upokorzeniu.

— Nie mój luby, poświęcam się pracy. Przecież nic się im nie należy, zabrali wszystko. W naszych piersiach skarby — tu, tu, w sercu nadzieja i miłość — któż się poważy zniszczyć Boga w duszy człowieka; kto ośmieli się rzucić klątwę na pokutującą krwawą pracę za lekkomyślność.

— Jesteś aniołem moim! zawołał mąż rzucając się do nóg zacnéj żony. Tobie zimno — tak lekko jesteś ubrana. Piekło! Ty drzysz. Szatani wyzywam was do walki — ludzie — głazy wydają wam bój na śmierć i życie.

— Mężu, tam Bóg!... W sercu człowieka uciśnionego nieszczęściem, tylko słowa modlitwy znaleść miejsce powinny.

— Ty mówisz o modlitwie, gdy szydercze uśmiechy czekają na ciebie — gdy źli ludzie, ostrzą wyrazy by ubóść, upokorzyć — zapomnieniem — gdy cały świat gotuje hańbę na nasze głowy. Bóg! Gdzie ten Bóg, co dopuszcza krwawych łez — ten Bóg mściciel i władzca, ten wielki, sprawiedliwy Bóg — co twór własnego tchnienia — tak ciężko doświadcza, — niszczy go by rzucić w duszę siew zemsty — nienawiść — klątwę...

— Mężu ani słowa więcéj, przerwała żona. Stało się. Los rzucony—rozpoczęta próba—przez ognie upokorzeń, przez kolce szyderstwa—przez morze krwi i potu... droga do pracy do życia, po za nią hańba—mężu jam w tobie ukochała człowieka. Człowieku jesteś nicością i potęgą—kruchym zlepkiem rąk bożych i panem świata—wolą przemożesz losy—rozumem zdobędziesz społeczne miejsce—cnotą i pracą—staniesz się potężnym, samodzielnym—wolnym! Jam twoja na wieki w złéj i dobréj woli—gdy uznojony pracą powrócisz do cichego zakątka—ja otrę pot z twego czoła—gdy w walce z potrzebą—zwątpisz o sobie—w sercu żony, w jéj miłości znajdziesz ożywcze źródło. Nauczę cię kochać ludzi—i mścić się dobrym czynem.

— Boże, więc nie utraciłem jeszcze wszystkiego. Dobrze, pójdziemy ręka w rękę—spojeni miłością i pracą. O Bóg mię jeszcze nie opuścił....

— Boś w życiu nie starł z czoła uczciwości; w sercu rozpusta nie zakorzeniła plugawych namiętności, boś bożego promienia nie ugasił w duszy.

— Swięte słowa: kto nie wstydzi się pracować, kto nie waha się choćby najciężéj pracować—temu... *pozostała jeszcze nadzieja!*

S. M.

SIOSTRZYCE,

(wiersz poświęcony S. Moniuszce.)

Raz śniłem, że jestem w dalekiéj podróży
Na morzu, na wielkim okręcie,
A fale i niebo szumiały wśród burzy
W szalonym natury zamęcie.
Noc była, podróżnych zebrana gromada
Na chwiejnym stojąca pokładzie,
I gwarna szła jakaś o burzy narada,
Jak zwykle gdzie trwoga na radzie.
Ów woła, że balast wyrzucić już pora—
Część radnych—w sternika nie wierzy,—
Tym żagli zamało, więc podróż nieskora,
Lub całkiem je zwinąć należy;
Ktoś krzyknął, że widzi latarni ognisko,
Że ważną cierpliwość w téj chwili.....
Lecz burza się wzmaga i skały już blisko,
A tyleśmy burz strasznych przebyli;
I wielu nam siły i myśli nie stało,
I troska uwięzła na czołach—
Gdym spojrzał po wszystkich, to mi się wydało
Że roję o mogił aniołach......
Lecz byłem bez trwogi, bo sercem co żyje
Przedarłem przyszłości obsłony,
Wiedziałem, że okręt do brzegu przybije,
Bo z nami był Chrystus uśpiony;
I w burzy łoskocie mącącym słuch ludzi
Słyszałem wyrazy: „Ufajcie!
Nim mistrz się w swą porę na nawie obudzi,
Tych głosów od lądu słuchajcie."
Więc wzrok mój po falach szedł śmiało w tę stronę
Gdzie widne skaliste wybrzeża,
W piorunnych połyskach ogniście złocone
Na symból nowego przymierza;
A okręt dzikiémi wodami miotany
To zdążał, to wracał od brzegu,
I pokład już cały był wodą zalany
I pianą jak biały płacht śniegu.
Na skale co szerzéj wybiegła pod chmury
Z obszerną płaszczyzną u szczytu,
Na ciemném tle nocnéj zburzonéj natury,
Wśród nagłych błyskawic rozświtu
Ujrzałem tłum ludzi drżących, pochodnie,
Co ku nam słał baczne wejrzenia,—
Wyglądał bezpiecznie, nietrwożnie, swobodnie,
Jak gruppa wykuta z kamienia.
Po przedzie był starzec sędziwy jak dzieje,
Co wielu znać widział rozbitków,
I w wielu zbłąkanych ożywiał nadzieję,
Do cichych wprowadzał przybytków;
A wzniosły postawą, jak dąb nasz w dąbrowie,
Z rozwianym kędziorem u czoła,
Wśród burzy chaosu podobny Jehowie,
Co światy do bytu wywoła.
Na piersiach śnieżysta spoczęła mu broda,
Pod którą połyskał znak krzyża,
Na licach wyryta umysłu pogoda
Co przyszłość i przeszłość przybliża;
W prawicy swéj trzymał oprawną w pargamin
Snać księgę z opisem tych brzegów,
Jéj karty pod baczny poddawał egzamin
Ku wsparciu sterniczych zabiegów.
U kolan badacza drży kilku chłopaków
Ciekawie w pierś burzy wpatrzonych
Jak pojaw młodzieńczych z przyszłości już znaków
Na gruzach dni zeszłych zrodzonych.
Na lewo wśród cieni młodzieńce dojrzali,
Niewiasty i męże półwieczne
Białemi chustami nas z brzegu witali
I rady dawali stateczne;
I każdy powtarzał, że starca historja
I jego o morzu nauka
Głęboka jak morze, jak wiedzy teorja
Nam szkopuł grożący wyszuka
I w chwili stanowczéj gdy nawa się zbliży
Falami pędzona do lądu,
On linę zarzuci, jak można najniżéj
Na odpór wstecznego wód prądu;
Lecz wszyscy ci ludzie w obrazie snu mego
I starzec i dziatwa i młodzi,
Nie byli stworzeni do czynu żywego
I zbawić nie mieli méj łodzi.
W tém z nagła,—ujrzałem po starca prawicy
Dwie ciche dziewicze postacie,
Jak objaw widomy anielskiéj tęsknicy
Po duszy strzeżonéj utracie;
Powiewne ich szaty, na chmurném tle nieba
Mignęły mi gwiazdą przewodnią,
A u stóp ich czarna skalista ta gleba
Błyskała jutrzenką pogodną.
Z tych dziewic wznioślejsza kibicią i czołem
Oblicze podniosła urocze,
Na śnieżne ramiona rzuciła pół kołem
Czarniejsze niż heban warkocze,
A wieńcem laurowym okryła swe skronie
Co w cieniu blask czoła jéj trzyma,
Śledziła ruch niebios i mętne wód tonie
Jasnemi z błękitów oczyma;
Lewicę oparła na harfie złocistéj,
W dłoń prawą ujęła jéj struny,
Lecz w oku, w postawie i w duszy ognistéj
Snać wzywa do boju pioruny.
I harfa zabrzmiała akordem szalonym
Jak groźba rzucona naturze,
Jak wyzew posłany i rzeczom stworzonym
I temu co stwarza te burze;
I głosem donośnym, głuszącym szum morza
Śpiewała to dumę boleści,
To piosnkę nadziei przejrzystą jak zorza—
A lubą jak uśmiech niewieści,
To przeszłość olbrzymią trącała tonami
Pod nieba czarnego sklepienie,
Lecz niebo wtórzyło głuchemi gromami
Nieczułe jak twarde sumienie.
Snać zakląć tę burzę śpiewaczka pragnęła,
Ukoić nam dusze znękane,—
Wtém z głośnym rozjękiem, acz harfa nie drgnęła,
Prysnęły jéj struny zerwane;
Dziewica w obłędzie swe piersi obwiła
Rękami nad sercem co boli
I martwe wejrzenie w obłoki utkwiła
Jak posąg nadmiernéj niedoli.
Gdy dziewcze szalone śpiewało zaklęcia,
Stojąca tuż przy niéj siostrzyca,
Z wyrazem niewinnéj słodyczy dziecięcia,
Co zdobił anielstwem jéj lica,
Swą główkę w złocistych warkoczy koronie
Złożyła na siostry ramieniu,
I duszą spoczęła na każdym jéj tonie,
Jak ciepło serdeczne w natchnieniu;
Lecz kiedy śpiewaczka ton rwała wysoko
Z namiętnéj swéj myśli ogniska,
Jak czarny aksamit łagodne jéj oko

Łzą jasną bezwiednie połyska.
Gdy siostra rzuciła już harfę—niemowę,
To dziewcze otarło oczęta,
Ugiętą jak kwiatek podniosła swą głowę,
Do modłów złożyła rączęta,
I zgiąwszy na skale dziecinne kolana,
Modlitwę jęknęła bezsłowną,
Lecz w pełen melodji hymn serca wylana,
Jak serce też była wymowną;
Dzikiemi tonami jéj pieśń się nie targa,
Jak pewna swéj władzy królewna,
A kiedy się w akkord zapłacze i skarga,
To tylko błagalna i rzewna;
Czasami weselszy zwrot dźwięknie z przeszłości,
To cichy i trwożny bez miary,
Lecz cały hymn pełen bezbrzeżnéj miłości,
Pokory, nadziei i wiary;
I pieśń ta bez słowa, jak uczuć wszechzgoda,
Niesiona na burzy powiewie
Płynęła pod niebo—a za nią pogoda
Szła w świętym zrodzona posiewie;
I pieśnia dziewczęcia konała wśród ciszy,
I burza konała z jéj tonem,—
Witano u lądu szczęśliwych przybyszy—
A ja się ocknąłem z jéj skonem.
Pamiętam, że we śnie o owe dziewice
Pytałem naszego sternika,
On rzekł mi: to znane rodzone siostrzyce,
Poezja i młodsza muzyka.

Jerzy Laskarys.

GAWĘDY PSYCHOLOGICZNE

Juljana Ochorowicza.

V.

Kwestja pochodzenia pojęć ogólnych. — Analiza pojęć — Doświadczenia zewnętrzne i wewnętrzne jako źródła naszych pojęć. — Podział wrażeń. — Doświadczenia wewnętrzne, zmysłowe i duchowe. — Jak powstają u nas pojęcia humoru, energii, zniechęcenia i t. p. — Trzy źródła pojęć.

Dopóki mowa o wyobrażeniach zmysłowych, dopóty każdy łatwo się zgodzi na zdanie: że każde wyobrażenie składa się z wrażeń zmysłowych i *tylko* z wrażeń zmysłowych. Ale gdy chodzi o pojęcia oderwane, o pojęcia ogólne, moralne, filozoficzne i estetyczne—wówczas pojawia się pewne powątpiewanie. Czy podobna ażeby pojęcie *sprawiedliwości*, pojęcia *przyczyny*, pojęcia: *prawdy*, *piękna*, *cnoty*, miały swe pierwotne i wyłączne źródło we wrażeniach zmysłowych? Tak, albo nie?

Jeśli *tak*, to każde z tych pojęć, rozebrane na części, powinno przedstawić pewną liczbę wrażeń spojonych w jedną duchową całość—i po odjęciu tych wrażeń—z pojęcia samego, nie powinno nic pozostać.

Jeśli *nie*, to musimy owym pojęciom przyznać inne źródło—nadzmysłowe. Ale i tu jeszcze krzyżują się drogi logicznych domysłów. Może być bowiem, że pojęcie pewne nie daje się bezpośrednio rozłożyć na wrażenia—co dowodzi że *bezpośrednio* z wrażeń zmysłowych nie powstało—lecz może daje się rozłożyć na wyobrażenia zmysłowe? Jeśli tak, to połowa trudności usunięta—potrzeba bowiem tylko otrzymane wyobrażenia szczegółowe, zmysłowe, rozłożyć na wrażenia umysłowe—i analiza będzie ukończona.

Gdyby jednakże pewne pojęcie, ani bezpośrednio, ani pośrednio na wrażenia zmysłowe rozłożyć się nie dało?

Różni różnie w takich razach postępują. Jedni wprost dają za wygraną w badaniach—i powiadają, że pojęcie o które chodzi jest *wrodzonem*—to znaczy: nie powstało podczas życia, na podstawie doświadczenia, czyli wrażeń zmysłowych—lecz było już gotowém od urodzenia, było darem natury—niezależnie od wpływów zewnętrznych.

Inni, nie dający się tak łatwo zrazić przeszkodami, utrzymują, że chociaż nie umiemy danego pojęcia na wrażenia zewnętrzne rozłożyć—to jednak nie znaczy jeszcze, że pojęcie owo spadło nam z nieba do głowy lub, że przez jakieś niepojęte duchowe samorodztwo w głębi duszy powstało. Nie należy bowiem zapominać, że człowiek umie ujmować świadomie nie tylko to, co się zewnątrz niego dzieje, ale także i to co w sobie samym czuje. Obok doświadczenia zewnętrznego, istnieje doświadczenie wewnętrzne—co zatém nie dało się wytłomaczyć na podstawie doświadczenia zewnętrznego, to może się wytłomaczyć na podstawie doświadczenia wewnętrznego. Pamiętamy przedmioty zmysłowe, które działały na nasze zmysły; pamiętamy że będąc na wsi widzieliśmy łąki, pola, lasy, dwory i chaty, rzeki i strumienie, ogrody i ogródki—wszystko to pamiętamy, ponieważ *widzieliśmy*. Ale czyż nie pamiętamy nic więcéj nad to, co na zmysły nasze działało? Czyż nie pamiętamy uczuć, które nas wówczas ożywiały—myśli które nam przechodziły przez głowę, i nadziei któremi przepełnione były nasze serca? A wszakże tych uczuć, tych marzeń i nadziei nie dotykaliśmy zmysłami,—wszakże to były tylko różne stany naszéj samowiedzy—stany które pamiętamy, które niby słabe echo przeszłości, dziś jeszcze czujemy w głębi duszy.

Oto co znaczy doświadczenie wewnętrzne i czém się różni od zewnętrznego. To ostatnie czerpie materjał z otoczenia—pierwsze zaś z głębi duszy.

Doświadczenie wewnętrzne musi być zawsze poprzedzoném przez doświadczenie zewnętrzne. Wrażenia umysłowe wytwarzają w dziecku wyobrażenia zmysłowe pojedyńcze i złożone, uczucia pojedyńcze i złożone, popędy pojedyńcze i złożone. Te dopiero stanowią materjał, dla doświadczenia wewnętrznego. Z nich przez kombinacją mogą powstawać pojęcia. Chodzi tylko o to, czy pewne pojęcia ogólne, metafizyczne, moralne, estetyczne, tą właśnie drogą powstały? W tém leży cała wątpliwość zagadnienia o źródle naszych pojęć. Musimy wskazać przynajmniéj przybliżone rozwiązania, na jakie nas analiza psychologiczna naprowadza. Lecz żeby tego dokonać, należy przedewszystkiem zwrócić uwagę na różną fizjologiczną przyrodę wrażeń, które niewątpliwie są pierwiastkiem wyobrażeń zmysłowych.

Rozdzieliliśmy już wrażenia na zewnętrzne i wewnętrzne. Rozdzielmy je więcéj szczegółowo.

Wszystkie wrażenia zewnętrzne odnosimy na zewnątrz—ale jedne z nich tylko do powierzchni ciała, inne zaś dalej,—po za ciało. I tak: ile razy czujemy *dotknięcie*, tyle razy, czujemy je na powierzchni ciała. Należy tu odnieść wszystkie wrażenia objaśniające nas o gładkości, o cieple, o wilgoci wreszcie o smaku przedmiotów otaczających. Muszą one koniecznie dotknąć naszego ciała ażeby mogły być ocenione. Inne wrażenia zewnętrzne działają pośrednio i dlatego przypisujemy je przedmiotom odległym. Tu należą wrażenia wzroku, słuchu i zapachu. Te ostatnie pochodzą wprawdzie od delikatnych cząstek materji drażniącéj błonę śluzową nosa—niemniéj jednak same przedmioty wonięjące—nie potrzebują być dotknięte i wrażenia od nich pochodzące odnosimy zawsze po za powierzchnią naszego ciała.

Zwróćmy się teraz do wrażeń wewnętrznych. Organy naszego ciała mają swoje nerwy czucia, które głównie przez pośrednictwo zwojów nerwowych sympatycznych dają znać do mózgu o stanie spraw organicznych. Jedne odnosimy do pewnych stałych punktów organizmu, do pewnych jego organów jak np. muskułów wszelkiego rodzaju poruszających ręce i nogi; klatkę piersiową przy oddychaniu, gałkę oczną przy patrzeniu, szczękę dolną przy gryzieniu i t. d., i t. d. Wrażenia od nich pochodzące ujawniają się już to przez *zmęczenie*, które przejawia się po długotrwałej pracy odpowiednich mięśni—albo też występują pod formą innego rodzaju normalnych i chorobliwych podrażnień. Drugie zaś, odnosimy wprawdzie także do wnętrza organizmu, ale nie umiemy oznaczyć stanowczo ich źródła; chociaż czujemy je, jakby w całem ciele, a nawet nie raz bywają one wyrazem ogólnego stanu naszéj istoty tak pod względem fizycznym jak i moralnym. Tu należą np. wrażenia budzące nas poczuciem ogólnego osłabienia, zmęczenia, zniechęcenia, lub przeciwnie ogólnéj jakiejś ochoty do ruchów, do działalności jakiejkolwiek. Pomimo swéj niejasności, wrażenia te grają jednakże ważną rolę w organizmie, stanowiąc tło dla wszystkich wybitniejszych spraw ducha. One to wytwarzają stan, który nazywamy złym lub dobrym humorem, a przez stałe powtarzanie się pewnego nastroju i nieustanną obecność tych wrażeń, tworzy się w organizmie pewnego rodzaju charakterystyczny dla niego tok i właściwe mu natężenie wszystkich spraw życiowych, które będzie dla danego organizmu tém, czém klimat dla danéj miejscowości—będzie *temperamentem*. Nietrudno pojąć, że kto tych różnych zmiennych stanów organizmu fizycznego i duchownego doświadczył, ten może sobie wytworzyć pojęcia *usposobienia, humoru, zniechęcenia upadku sił lub ich nadmiaru*, pojęcia własnéj *siły życiowéj* zaczepnéj i odpornéj, *energji*, *zapału* i tysiąca innych. Wszystkie te pojęcia każdy z nas posiada, czego dowodzi to, że gdy czytamy wyrazy: *usposobienie*, *humor*, *zniechęcenie*..., wiemy o co chodzi. A przecież nie są to wyobrażenia zmysłowe! Nikt nie widział przedmiotu zwanego *usposobieniem*, nikt nie dotykał przedmiotu zwanego *humorem*, nikt

nie słyszał, ani smakował *energii*, a jednak mamy najdokładniejsze pojęcie o każdym z tych stanów. Dlaczego? Ponieważ tysiąc razy doświadczaliśmy wrażeń, z których owe pojęcia powstały, wrażeń, które zaliczyłem do ostatniéj kategorji: *wewnętrznych, ogólnych, nieumiejscowionych*. Proces powstawania takich pojęć będzie bez wątpienia *doświadczaniem wewnętrzném*. Ale bystry czytelnik spostrzegł już niezawodnie różnicę, jaka zachodzi pomiędzy tém doświadczeniem wewnętrzném o którém w téj chwili mowa, a tém o którém mówiliśmy poprzednio, uważając je za *pamięć własnych myśli, uczuć, marzeń, nadziei*. Musimy więc tę różnicę uwydatnić i oznaczyć jednym wyrazem. *Doświadczenie wewnętrzne*, które nam pozwala wytworzyć pojęcia: zdrowia, choroby, usposobienia, humoru, ogólnéj energii lub ogólnego osłabienia, doświadczenie to mówię, polega zawsze na wrażeniach zmysłowych pochodzących od mięśni, od żołądka, od płuc, od serca, od skóry, wreszcie od samych nerwów, w których dzieją się nieraz jakieś dziwne zboczenia wytwarzające wszelkiego rodzaju newralgje. Czyż więc niebędzie słuszną rzeczą takie *doswiadczenie wewnętrzne* nazwać *zmysłowem*? To zaś o którém poprzednio mówiliśmy przedstawia inny charakter. Pamiętać o teorji, którą utworzyliśmy obserwując pewne zjawisko, o błędach w któreśmy popadli, przypominać sobie, kolejne próby czynione w celu ich uniknięcia—rozważać własne skłonności dawniejsze i obecne, badać je; porównywać doznawane w różnych czasach uczucia nadziei i zawodów miłości i nienawiści, tryumfów i upokorzeń—jestże to doświadczać wrażeń *zmysłowych?* Gdybyśmy je tak nazwali, popełnilibyśmy wielki błąd niektórych psychologów—błąd nazywania różnych rzeczy, jedném imieniem. Lepiéj więc będzie, jeśli, w odróżnieniu od poprzedniego, nazwiemy także doświadczenie wewnętrzne duchowem.

Mamy zatém trzy źródła wyobrażeń i pojęć:

1. Doświadczenie zewnętrzne, zmysłowe.
2. Doświadczenie wewnętrzne, zmysłowe.
3. Doświadczenie wewnętrzne duchowe.

Jeśli te trzy źródła nie wystarczą nam do wyjaśnienia pochodzenia pewnych pojęć, to będziemy zmuszeni uznać go za wrodzone lub spadłe z nieba. Byłby to dla nauki kłopot niemały. W każdym razie, moglibyśmy pocieszać się tém zdaniem, że czego dziś wyjaśnić nie umiemy, to może być wyjaśnionem jutro—że więc jeszcze do cudów uciekać się nie należy. Ale sprawa nauki stoi lepiéj, aniżeli się to zdaje zwolennikom pojęć wrodzonych i wpływów mitologicznych. Nie ma takiego pojęcia, któreby poddane ścisłéj psychologicznéj analizie, nie dało się rozłożyć na pierwiastki wrażeń, z trzech powyżéj wymienionych źródeł pochodzące.

Przeciwnie rozbior taki wykazuje: że potrójne owo doświadczenie, przez kombinację wrażeń zewnętrznych z wewnętrznemi wytwarza w nas nietylko wyobrażenia zmysłowe przedmiotów otaczających, pojęcia dotyczące ich wzajemnych pomiędzy sobą stosunków—ale także i wszystkie pojęcia umysłowe dotyczące najogólniejszych stosunków między objawami moralnemi, będące wyrazem zmiennych stanów naszéj samowiedzy i jéj fantazyjnych poglądów.

(D. c. n.)

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom II.

(Ciąg dalszy).

— Nie mogę — rozpaczliwym tonem rzekła Sybilla — i czy uwierzy pan, że ten jéj bal do pasji mnie doprowadza. Nie przypuszczałam w sobie tak poziomych uczuć, ale tak jest. Dręczy mnie ta myśl, że będą ją uwielbiać, będą jéj nadskakiwać przez noc całą, a ja siedzieć będę w kącie jako przedmiot nie mający wartości. Ach, nie zawsze tak bywało. Niegdyś kochałam ją i pyszniłam się z jéj piękności, a teraz — może potępisz mnie pan za to — nienawidzę ją!

— Nie czyń pani tego. Ubóstwo jéj winą wszystkiego. Natura dała jéj piękną powierzchność i niektóre dobre przymioty, ale zapomniała dać jéj serca. Pani Kennedy jest pięknym posągiem z krwi i ciała; patrząc na nią przyznać trzeba że twarz i postać jest bez zarzutu.

— Przestań pan—przerwała Sybilla bladnąc nagle— tylko co wyrzekłam, że nie mogę znosić jéj uwielbień.

— Ależ ja jéj nie uwielbiam — ja stanowczo uwielbiam panią—dodał z uśmiechem podnosząc jéj rękę do ust swoich.

— A teraz upokarzasz mnie pan — zawołała Sybilla. Ja niechcę być uwielbianą. Nie jestem próżną, ale pokrzywdzoną i zazdrośną i niecierpię jéj.

— Ale Sybillo, nie w mojéj mocy nie uwielbiać cię — rzekł Dermot z uczuciem. Nie mówię pani komplementów, na słowo. Zbyt cię cenię, iżbym miał komplementa prawić.

Szczerość była w jego słowach, a spojrzenie wyrażało jeszcze więcéj. Sybilla czuła jakby balsam cudowny łagodzący jéj troski. Na twarz jéj wystąpił rumieniec, nie tylko uczuciem skromności wywołany, ale i uczuciem szczęścia. Tak była piękną, iż olśniła i oczarowała Dermota. Oczy mu zabłysły, przysunął się i ze wzruszeniem spoglądał na Sybillę, słowa drżały mu na ustach, ale nagle puścił jéj rękę, i blady zmięszany odstąpił parę kroków. Nagle myśl jakaś nowa powstała w jego głowie.

— Nie mogę z nią się ożenić.

Właściwie brakło mu tylko woli — a wola jest wszystkiém. Dermot, jakkolwiek oczarowany na chwilę, nie był zakochany.

Zapewne Sybilla domyśliła się prawdy, smutnie się bowiem uśmiechnęła i zawróciła do domu.

— Nigdy w życiu—myślała sobie—nie dopuszczę z nim spotkania sam na sam. Nie mogę mu ufać. Lubi mnie, ale nie chcę korzystać z chwilowego wrażenia. Umiem odróżnić miłość od upodobania.

— Pani jesteś nie kontenta ze mnie — rzekł Dermot zakłopotany.

— Z siebie tylko jestem nie kontenta— odpowiedziała Sybilla poważnie.

Szła daléj dając poznać że nie życzy sobie aby jéj towarzyszył—stosując się do jéj woli, pozostał w tyle.

Dermot nie lubił poddawać się wpływom uczucia, zwykł był zastanawiać się nad niém, pytał więc sam siebie, co za wzruszenie nagle go opanowało. Nie kochał Sybilli i nie myślał o niéj. Lubił ją jak piękny kwiat polny, ale nie chciał go zrywać. Samo wspomnienie o pożyciu małżeńskiém było mu wstrętne. Zresztą, po co się żenić gdy tyle trosk i walk miał przed sobą.

Tak przemawiał rozsądek, ale odzywał sie i głos drugi, równie może samolubny, ale daleko powabniejszy. Głos ten mówił mu o młodéj rozkochanéj Sybilli, witającéj go wesołym wzrokiem i pocałunkiem, i dającéj mu zapomnieć o troskach. Czy to możliwe? a raczéj czy tego życzyć sobie należy?

— Jakto źle że mężczyźni i kobiéty nie mogą pewnych kwestji roztrząsać z zupełną otwartością — myślał Dermot. Jak to źle naprzykład, że przed chwilą nie mogłem powiedzieć do Sybilli: „Nie jestem zakochany w tobie, ale powiedz, że możesz mnie kochać, a w jednéj chwili się zakocham. Widzisz że jestem jak tonący człowiek, który zapomniał o tém słodkiém wybrzeżu nazwaném miłością, tonie w obojętności, w poczuciu braku nadziei, ale pokaż mu znowu zielony brzeg, a wytęży wszystkie siły, aby go osiągnąć. Powiedz mi Sybillo, że nie mogę być kochanym, a zobaczysz czy nie będę kochał. Powiedz to, a ukocham cię zdrową czy chorą, na szczęście lub niedolę. Jeżeli będziesz chorą, pielęgnować cię będę, jeżeli strapioną, będę cierpiał razem z tobą; a jeżeli będziemy ubodzy, pracować dla ciebie będę. Będziesz ciałem mojego ciała i sercem mojego serca. Będę cie kochać w kwiecie młodości i gdy młodość przekwitnie. Powiedz Sybillo, cóż więcéj można od mężczyzny wymagać.

Ale niestety! takiéj przemowy nie można było miéć do Sybilli. Nie można się oświadczać w taki sposób, żadna panna by tego nie zniosła. Mężczyzna oświadczający się, powinien czuć miłość w pełnym rozwoju, a nie jakiś zarodek miłości. Wszystko to wiedział Dermot i z niecierpliwém westchnieniem postanowił nie myśléć już więcéj o swoim stosunku do Sybilli.

Inaczéj stać się miało.

Przygotowania do balu pani Kennedy czyniono na wielką skalę już od tygodnia. Widziała je Sybilla z goryczą, ale gdy opuściwszy Dermota, weszła do domu i do sali bibljotecznéj, oburzenie jéj doszło do szczytu. Pani Kennedy nagle postanowiła salę tę zamienić w balową. Małżonek usłyszał rozkaz i wypełnił. Dla zyskania miejsca, kazał natychmiast książki przenieść na strych, a półki powyrzucać. Na samo to zamięszanie, kurz, rupiecie, przybyła Sybilla, i za jednym rzutem oka zrozumiała co się święci. Pokój ten kiedyś prawie wyłącznie do niéj należał, w nim spędziła najszczęśliwsze godziny, sama, z ojcem i niegdyś ze stryjem Edwardem, a teraz zabierają jej to schronienie, wypędzają jéj ulubionych autorów, a ona musi na to patrzéć!

— Lepiéj byś tu nie stała w kurzu — rzekł szorstko ojciec,

spojrzawszy na jéj twarz bladą i zgadując jéj myśli, idź lepiéj przygotuj twój strój na wieczór, zamiast tu kwaśną minę pokazywać.

— Nie mam nic do przygotowania – odpowiedziała zimno Sybilla.

Kennedy zarumienił się, nie pomyślał o tém jak ma być córka ubrana, bo przez cały tydzień zajmowały go szczegóły stroju żony. Odwrócił się więc nic nie mówiąc, a Sybilla z czułością podniosła z podłogi stos zakurzonych tomów i poniosła je do ich nowego schronienia.

ROZDZIAŁ XI.

Z wielką gorliwością czyniła pani Kennedy przygotowania balowe. Urządzeniu sali balowéj, wieczerzy, wyborowi gości, własnéj toalecie i tym podobnym ważnym dziełom, poświęciła całą uwagę: przedsięwzięła wszelkie środki ku zabezpieczeniu powodzenia zabawy, i wyznać musimy, że usiłowania jéj uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Salę balową uznano za przepyszną, wieczerzę za wyborną, a bladoniebieską suknię pani Kennedy, jéj perły i djamenty, za coś niedającego się wypowiedzieć. O Sybilli nikt nie myślał w tym wesołym rozgwarze. Hołdy które jéj niegdyś składano, zwrócono teraz, ku jéj pięknéj, uśmiéchającéj się macosze. Siedziała opuszczona i zaniedbana, nikt jéj nie witał, lub witał tak zimno iż powiększał jéj gorycz osamotnienia. Nie chcąc dłużéj znosić zniewagi, tak bowiem biédne dziecię nazywało ową próżnostkę światową, wprzód jeszcze nim się tańce rozpoczęły, przeszła do bawialnego pokoju, gdzie porozstawiane stoliki do kart, napróżno dotąd oczekiwały amatorów wista.

Nikt na odejście jéj nie zważał, mogła więc swobodnie smutnym swoim myślom się oddawać. Zabrzmiała orkiestra, wraz z tonami muzyki, doszły ją wesołe głosy dam, śmiechy, zmieszany szmer rozmowy. Kiedyś podobne odgłosy napełniały ją radością, ale czas ten minął; dzielił ją od nich rok gorzkich doświadczeń; zdradził ją kochanek i przyjaciołka; pokochała człowieka, który kochał inną, a który choć zrzekł się téj miłości, dla niéj przyjaźń tylko czuje. Ojciec ostygł w swem ku niéj przywiązaniu, a teraz i ludzie o niéj zapomnieli. Kto dostrzegł jéj nieobecności w salonie?—nikt. Drzwi się otwarły i Dermot wszedł do bawialni. Z oczu można jéj było wyczytać, że przyszedł po nią.

Myśl szybkie umie odbywać podróże i Dermot też w myśli nie złą odbył podróż po rozstaniu się swém z Sybillą. Niebezpiecznie to dla mężczyzny mającego serce jeszcze nie zajęte, zapytywać samego siebie w jakim stopniu lubi piękną dziewczynę w któréj towarzystwie wdzięcznie przebywa, a jeszcze niebezpieczniéj gdy sobie te pytania wobec niej zadaje. Ludzie zimni, światowi, wytrzymują wprawdzie taką pokusę, ale Dermot wcale nie był zimnym, ani światowym. Tylko co wybrnął z sieci niegodnéj namiętności, a o Sybilli wiedział, że była niewinnością i prawdą, że godna jest miłości. Ale czy przyjmie jéj ofiarę, czy różnica lat dopuszcza wzajemności, to było pytanie, które teraz rozwiązać pragnął.

— Co pani?

— Głowa mnie boli.

— Czy tak rzeczywiście? zapytał znowu, siadając obok niéj. Sybilla nie odpowiedziała.

— Zdaje mi się, że panią raczéj serce boli. Sądzę, że nawet cierpienie to jest mocne w téj chwili.

— A pana, panie Dermot?

— Ja już wyleczony.

Spojrzała nań trochę z niechęcią.

— Chciałbym i panią wyleczyć,—mówił daléj. Zdaje mi się, że mógłbym to uczynić, gdybyś mi pani pozwoliła.

— Jakim sposobem?

— Naprzykład dowiódłbym, że nie warto jest, aby żałować téj któréj pani żałuje.

— Wiem o tem; ja też nie straty Blanki Cains, ale straty przyjaźni żałuję.

— Szukaj jéj pani gdzieindziéj.

— A pan szukasz gdzieindziéj miłości? zapytała Sybilla z rozbłysłemi oczyma.

Dermot zawahał się, a nawet zarumienił nieco. Bardzo się czuł skłonnym do szukania innéj miłości, ale trudno mu jeszcze było przyznać to otwarcie.

— Gdybym mógł znaleźć szczere serce — odpowiedział po chwili—wiedziałbym co zrobić. Ale nie wtém rzecz. Ofiaruję pani szczerego przyjaciela dla czegóżbyś go pani przyjąć nie miała?

— Nie odrzucam pańskiéj przyjaźni—ale....

— Niema „ale." Wiem dobrze, że pani nie przyjdziesz do mnie z szydełkową robotą pokazywać mi piękny deseń, ani też nie wynurzysz przedemną całego serca, tak jakbyś to przed przyjaciółką uczyniła, ale mimo tego możemy być przyjaciołmi — prawdziwymi przyjaciołmi; i pragnąłbym zaraz rozpocząć mój urząd od wprawieniem pani w lepszy humor. Schudłaś pani, sądzę, że spędzasz bezsenne noce — cyż warto tracić zdrowie i młodość dla tego że zawiodła fałszywa przyjaciołka! W ból głowy dzisiejszy nie bardzo wierzę. Dlaczegóżbyś pani nie miała tańczyć i zapomnieć o swoich troskach? Wszak dźwięki muzyki są pokusą, nie prawda?

Ale pokusą nie była walc Straussa, a raczéj dobroć, czułość i szczerość Dermota, od których tajało serce Sybilli. Wstydziła się sama przed sobą zmiany jaką kilka jego słów w niéj uczyniło, myślała bowiem: — Wszystko to tylko przez dobroć; nie dba o mnie, tylko się lituje nad moim stanem. Nieprzypuszczała, że on właśnie nie w téj chwili stara się uzyskać stanowisko przyjaciela, nim się o wyższe—kochanka pokusi. Sybilla nie wydawała mu się już teraz takim dzieckiem i sądził, że źle byłoby zrzekać się téj pięknéj młodéj istoty, bez spróbowania szczęścia. Że nie myśli już o hrabi de Renneville o tém wiedział, a i o tém także, że miłość ta była tylko szlachetną, romantyczną fantazyą młodego dziewczęcia. Takie uczucie czyniło jéj zaszczyt i wraz z jéj namiętnym bólem po stracie przyjaciółki, świadczyło o sercu czułem i gorącém. Jakież szczęście czéka tego, kto serce to zwróci od nierozsądnych i próżnych utyskiwań, ku wielkiéj a szczeréj miłości. Może się to nieudać—mianowicie jemu — ale próbować warto choćby nawet próba przedstawiała niebezpieczeństwo, o którém zresztą miał zupełną świadomość. Wiedział że w takim dążeniu, nie zawsze można zyskać serce cudze, a łatwo stracić swoje; wiedział o tem, ale postanowił ryzykować, starając się zarazem spodobać bardziéj dziewczynie i starać się nią pokierować. Nie wiedział jak łatwe sobie stawił zadanie w części już dokonane nawet. Przestał ją traktować jako dziecko, zaczął okazywać więcéj uszanowania, nie zrzekając się przytym przyjacielskiéj poufałości,—a zmianę tę spostrzegła Sybilla.

Postanowił Dermot skłonić Sybillę do tańczenia, szydził więc z jéj bólu głowy zwracał jej uwagę na dźwięki muzyki dolatujące z salonu. Biedna Sybilla nie zdołała mu się opierać, gdy więc wstał i podał jéj rękę, wsparła się na niéj, rumieniąc się z radości i zawstydzenia.

Weszli do sali balowéj, pełnéj światła i hucznéj wesołości, i puścili się w wir walca.

— Wiem że smutna będę jutro,—myślała sobie Sybilla—ale niech tam, dziś jestem szczęśliwa.

A że istotnie zapomniała o troskach, to widział Dermot doskonale. Na twarz jéj wystąpiły rumieńce, a w czarnych oczach zabłysły dawne płomienie. Była najładniejszą panną w salonie. Pani Kennedy była piękniejszą, ale nie dorównywała jéj wyrazem oczu, świeżością dziewiczych ust, cudnie rozciętych i wdzięcznością poruszeń. Tańczyli z sobą przez większą część nocy, a gdy Sybilla przestraszona surowémi spojrzeniami macochy, odpoczywała, Dermot nie tańczył z nikim innym, siedział przy niéj i rozmawiał. Rozumie się, że stali się przedmiotem ogólnéj obserwacji i różnych wniosków, o które Dermot niedbał, a których całéj prawdy Sybilla nie przypuszczała. Łudził ją dawny poufały stosunek i przekonanie o obojętności Dermota który też rzeczywiście niebył jeszcze zakochany, a dopiéro był na drodze do tego. W liczbie tych którzy robili obserwacje, był i Kennedy. Spoglądał na żonę, na córkę, i na przyjaciela. Dostrzegł na twarzy pani Kennedy jakiś niemiły wyraz, jakiś obłęd, którego wszystkie jéj uśmiechy pokryć nie zdołały, widział ożywione oczy Sybilli i odgadywał powód téj zmiany. W twarzy Dermota także wyczytał zadowolenie, radość, nadzieję, na które tak prędko nie liczył. Ale próżność ojcowska łatwo mu je wytłomaczyła — Sybilla tak była czarująca! Dręczyła go tylko tajemnicza postawa żony i trawiony gorączkową ciekawością postanowił natychmiast o przyczynie się dowiedzieć.

Skończyła się wieczerza, goście odeszli, a cichę czułym głosem Dermota powiedziane dobranoc dźwięczało jeszcze w oczach Sybilli, gdy zatrzymał ją ojciec przy wejściu na schody.

— Chcę pomówić z tobą — rzekł otwierając drzwi do pustej już bawialni.

Sybilla poszła czyniąc zadość woli ojca, który starannie drzwi zamknął i bez żadnych wstępów zapytał.

— Pan Dermot był dla ciebie bardzo uprzejmy tego wieczora?

Sybilla milczała, nie wiedząc co odpowiedzieć?

— Tańczyłaś z nim tylko. Czy ci się oświadczył?

— Nie—odpowiedziała, a żywy rumieniec oblał jej lice.

— Jakto, ani dziś, ani nigdy przedtem?

— Nie—nigdy,

Sybilla nie kłamała nigdy—a zatém żona jego popełniła kłamstwo.

— Ale czy nie miałaś jakich powodów do przypuszczania, że się kochał w tobie?

— Nie—nigdy.

Kennedemu zadrgały usta. Na chwilę zapomniał o Sibilli a myślał tylko o tem, że go żona zwiodła; spostrzegł jednak zdziwione Sybli spojrzenie i uśmiechnął się.

— Dobrze — rzekł — sądzę że Dermot ma zamiary względem ciebie — nie mówił mi tego — ale tak sądzę: a jeżeli to nastąpi, to ci mówię z góry, że bardzo rad będę jeżeli przyjmiesz jego oświadczenie.

Spojrzał na nią ostro, ale nie trzeba było poleceń; rumieniec i wyraz twarzy Sybilli świadczyły dowodnie o stanie jej serca. Westchnął ciężko. Jego żona zazdrościła jego córce, kochała człowieka, który prawdopodobnie kochał jego żonę. To rzecz niemiła.

— Tylko to chciałem ci powiedzieć—rzekł znękanym głosem, nie myślę cię zmuszać— ani też za niego nie ręczę—jesteście wolni. Ale jeżeli jego zalecania nie podobają ci się, to ich nie przyjmuj w ten sposób jak dzisiaj. Dobranoc—śpij spokojnie, jeżeli możesz.

Sybilla przystąpiła i pocałowała go w twarz, na co mało zwrócił uwagi. Ojciec i córka źle spali tej nocy. Jego dręczyła gorączka zazdrości i gniewu, ona myślała o swem niespodziewanem szczęściu. Dermot ją kochał!—tak sobie wytłomaczyła słowa ojca—kochał ją! Dla tego więc tak prędko wyleczył się z miłości ku Blance? czy dla tego nakłaniał ją do wyjścia za mąż? Och życie miewa swoje czary!

ROZDZIAŁ XII.

Bal pani Kennedy nie bardzo zachwycił Denizę. Skromna ta dziewczyna nie miała żadnego w tém upodobania i dziwiła się zawsze, co ludzie za rozkosz mogą upatrywać w takim umęczeniu. Przytem nowa jéj pani nie była u niéj w łaskach, a uprzątanie, zamiatanie i czyszczenie, nieodzowne po takiéj zabawie, napełniało ją szczytem oburzenia.

Rozpamiętywała te swoje krzywdy nazajutrz po balu, gdy odgłos zbliżających się kroków zwrócił jéj uwagę. Ujrzała posłańca pocztowego, który wręczył jéj pakę listów i pospieszył daléj. Jeden z listów odznaczał się wielkością, a Deniza nieumiejąca czytać, obracała nim ciekawie na wszystkie strony, gdy nadeszła Sybilla, wesoła jak promień słońca.

— Cóż się tak listom przypatrujesz? przeczytać ci adresy?— zapytała. Oto te dla ojca, a ten duży dla pana Dermota, a dlamnie nic nie ma.

To rzekłszy wyskoczyła przez nizkie okno i pobiegła do ogrodu. Pełny był światła słonecznego, tak jak serce Sybilli pełne wesela. Przebiegła więc ścieżki, nucąc swobodnie jak ptaszę. Otaczała ją zieloność wiosny, wiatr roznosił kwietniowe zapachy, niebo było bez chmurki.

— Szczęśliwa jestem! — pomyślała Sybilla, gdy nagle ujrzała Dermota, zlękła się go, a bardziéj jeszcze saméj siebie i skręciła w stronę. Manewrowała z taką taktyką pomiędzy szpalerami, że Dermot dopiero gdy wszedł na ścieżkę na któréj spodziewał się ją spotkać, spostrzegł ucieczkę. Rzucił w koło rozczarowane spojrzenie, które z ukrycia swego dostrzegła Sybilla i podczas gdy szukał jéj w jednym kierunku, zwróciła się w drugi i opuściła ogród. Dermot nie stracił nadziei. Siadł na ławce, zapalił cygaro i zaczął rozmyślać. Postanowienie jego było niewzruszone, dziwił się tylko, ze tak dobry pomysł przyszedł mu do głowy dopiero po przeszło trzydziestu latach kawalerskiego życia, a nie wcześniéj. Sybilla była nieporównana, a choć rozumie się, nie mogła się w nim dotąd kochać, to mając tyle sposobności, mógł liczyć, że uda mu się doprowadzić ją do tego. Skończył cygaro, dużo roboty czekało na niego w kantorze, a nie mógł oderwać się od tego marzenia na jawie, nie mógł porzucić miłego swego ustronia. Obudziły go dopiero kroki po żwirze ścieżki. Deniza list przyniosła. Wziął go Dermot nie mówiąc ani słowa, ale jakieś złe przeczucie go ogarnęło.

— Jeżeli tak jest—pomyślał sobie nim pieczęć rozerwał— to się jéj wyrzeknę.

List był od irlandzkiego adwokata pana Dermonta, a krótki był i znaczący:

„Panie. Jakiś przystojny młody człowiek, zgłosił się wczoraj do redakcji Moonagli Herold i zażądał wszystkich numerów za lipiec przeszłego roku. Jeżeli się dowiem czego więcéj doniosę p anu. Z uszanowaniem Jolin O'Keefe."

P. S. Młody człowiek zasmucił się gdy mu powiedziano że numera te już wyczerpane".

Dermot ugryzł się w wargi i usiłował być spokojnym, ale nie mógł się pokonać. Owładnęło nim zmartwienie i uczucie bezsilności. W końcu zmusił się do chłodnego zastanowienia się nad tą sprawą. Naprzód przyszła mu na myśl Sybilla. Niebezpieczeństwo drzemiące czas jakiś, podniosło teraz głowę.

— Bądź zdrowa Sybillo—pomyślał Dermot z ściśnionem sercem. Piękną jesteś perłą i w osobliwéj oprawie; pragnąłem cię nazwać moją, ale to być nie może. *(D. c. n.)*

WIENIEC.

— Dzisiejszy *Wieniec* rozpoczynamy od zakommunikowania, zwłaszcza czytelniczkom naszym, strasznéj wiadomości zaczerpniętéj z ,,Kaliszanina." Pisemko to powiada; że, przed stoma właśnie laty w roku 1772 paryzki parlament wydał edykt następujący: ,,Ktokolwiek za pomocą bielidła i różu, za pomocą pachnących olejków, fałszywych włosów, żelaznych sznurówek, wypchanych bioder, trzewików na wysokich obcasach i zbyt krótkich sukien, wciągnie jakiego męzkiego poddanego J. K. Mości w związki małżeńskie, będzie ścigany jako czarownik, a małżeństwo za nieważne i nie byłe ogłoszone zostanie."

Co to za barbarzyńskie były wieki! prawda piękne czytelniczki. Jak to dobrze, że to już minęło, że u nas podobny edykt nie obowiązuje. Jakaż to ciemnota, zacofanie, nieznajomość tego co zdobi i olśniewa...

Jaka szkoda, że to nie u nas podobny edykt wydano, że z niego korzystać nie można, - prawda czytelnicy.

Przyznam się, że w niemałym jestem kłopocie komu tu dogodzić... czyją trzymać stronę? Miłe dobre stosunki z czytelniczkami; wcale nie źle być w zgodzie z czytelnikami. Ha! cóż robić? oto najlepiéj, zwyczajem wszystkich nie wiedzących do któréj się partji przyłączyć, nie będę ani chwalił, ani ganił,—pozwolę sobie tylko wypowiedziéć kilka myśli, które mi się nasunęły po przeczytaniu artykułu *Kaliszanina.*

— Małżeństwo rzecz święta, tak z punktu widzenia religijnego, jak i społecznego, bez względu na to, czy będziemy je uważać za sakrament i do jego zawarcia wymagać błogosławieństwa kościelnego, czy też, przyjmując takowe za instytucję czysto społeczną, poprzestaniemy na formach cywilnych. Świętość jego bowiem, leży nie w zewnętrznych obrzędach, ale we wpływie, jaki wywiera na losy nie tylko dwojga istot przez nie złączonych, ale i społeczeństwa całego. Małżeństwo jest zawiązkiem rodziny, rodzina podstawą moralności, siedliskiem cnót domowych i społecznych, ziarnkiem od zdrowia i jędrności którego—zależy zdrowie, tęgość woli i uczciwość działania przyszłego społeczeństwa. Żeby zaś rodzina była rzeczywiście zawiązkiem tych cnót, których rozwinięcia i wypielęgnowania wymagać od niéj mamy prawo, trzeba aby czynniki podstawą jéj będące, oprócz posiadania przymiotów cnót domowych i towarzyskich, przedewszystkiém były dobrane z sobą, tworzyły harmonijną całość, tak pod względem duchowym, jak i cielesnym. Dla tego też stanowczo potępiamy coraz to rozszerzający się sposób kojarzenia małżeństw przez kantory stręczycieli i t. p. i przedewszystkiém wymagamy, aby mający się z sobą dozgonnym węzłem połączyć,—poznali się poprzednio doskonale; każdy rys charakteru, słabostka czy przymiot, wada czy zaleta, jednego, powinno być znane drugiemu... Jeśli tak być powinno we względzie charakteru i w ogóle wewnętrznych zalet, to nie inaczéj również i co do kształtów zewnętrznych... Podstawę wartości tak mężczyzny, jak i kobiéty stanowią bezwątpienia czystość jéj duszy, moc charakteru, zdolności umysłowe, wykształcenie i t. p., ale każdy przyzna, że pozory, udatne kształty ciała, piękność w ogóle, na mężczyzn zwłaszcza ogromny wpływ wywierają, i często wrażliwszym szczególniéj, każą zapominać, że piękność ta na dziś tylko zwykle, a co najwyżéj na jutro... W takim stanie rzeczy, wdzięki nie małą rolę w formowaniu się rodzin odgrywają, nie rzadko nawet jedyną ich założenia stają się przyczyną. Więc czy godzi się fałszywie ich siłę podnosić? Wszystkie zapytane o to kobiéty bez namysłu odpowiedzą—nie. Ale czy żadna z nich tego nie czyni?—Na to znowu my z niedowierzaniem potrząsamy głową i dodajemy, zwyczajem powszechnie przyjętym, — wątpi o tém kosciół Boży.

Miał więc rację prawodawca francuzki z końca przeszłego wieku, nie w tém wprawdzie, że się zanadto wdzierał w prawa osobiste, ale że jawnie i publicznie potępił sztuczne pokrywanie starości i braków fizycznych. Czy jednak prawo to wyleczyło Francuzów z ich chronicznéj wady? Doprawdy,— że nie. Choroba ta rozszerzyła się na wielką skalę, na wszystkie niemal klassy społeczeństwa, a co gorsza przybyła druga o wiele groźniejsza, a tą jest blagierja, czyli inaczéj sztuka pokrywania warstwami różu i bielidła nicości umysłowéj i zgnilizny moralnéj. Jakiego lekarstwa, jakiéj ustawy na to trzeba? Sądzimy, że najlepsze będzie nieszczęście...

— Jesteśmy proszeni o zamieszczenie wiadomości, że kilku studentów

z Wydziału prawnego tutejszego uniwersytetu, wzięło się do tłomaczenia *Historji Filozofii Leves'a*. Notujemy to z tém większą przyjemnością, że nie jest to jedynym dowódem poważnego kierunku myślenia młodzieży uniwersyteckiéj. Inna znowu bowiem partja zapowiada prospektem wydawnictwo bardzo ważnego—specjalnego dzieła z *Wykład chorób syfilistycznych* podług dzieł *Zejssla* Redera i innych. Wydawnictwo to ma być dokonane przez sześciu studentów Medycyny pod nadzorem znanych u nas w tym kierunku specjalistów: D-ra Karola Pawlikowskiegó, Dr. Henryka Stankiewicza. Wreszcie szereg ten dość duży, jak na raz, pomnożony zostanie projektowaném przez młodych również prawników wydawnictwem *Bibljoteki umiejętności prawnych*. Chodzi tu o przyswojenie naszéj literaturze podręczników we wszystkich gałęziach prawoznawstwa, których brak, nie tylko uczącym się ale i praktykom, nie raz dawał się we znaki. W obec takich faktów, muszą nieco złagodnieć narzekania na naszą prassę, że się cała skoncentrowała w błahostkach, powiastkach ulotnych artykułach, przedrukach i t. p. Obok bowiem rzeczy podobnych możemy się pochwalić dość ważnym zastępem publikacyi poważnych, nie licząc już nawet wyżéj wspomnianych.

— W téj chwili właśnie odebraliśmy *Sprawozdanie z czynności Wydziału Zarządzającego czytelnią akademicką w Krakowie*.

Celem téj instytucyi, według § I statutu, jest rozbudzanie ruchu i życia umysłowego między młodzieżą akademicką w Krakowie. Sprawozdawca na wstępie zaraz zaznacza, że Czytelnia przełamawszy już trudności, z jakiemi w początkach swego istnienia walczyć musiała, oczywiste na drodze swego rozwoju robi postępy i granice swéj działalności coraz bardziéj rozszerza. Rzeczywiście z zestawienia sprawozdania obecnego z przeszłém—przekonać się można, że instytucja ta żyje — oddycha — idzie naprzód—powoli wprawdzie, ale ciągle.

Sprawozdanie główny robi nacisk na odczyty. Istotnie żywe słowo zawsze daleko skuteczniéj przemawia, niż książka, zmusza niejako słuchacza do należytego zwracania uwagi, wbija w jego pamięć to, co słyszał. Otóż tych odczytów w ubiegłém zimowém półroczu było 10. Daléj za inicjatywą byłego przewodniczącego, Hilarego Filasiewicza wyznaczono nagrodę za najlepszy odczyt i ustanowiono wybraną z grona członków czytelni komissję oceniającą.

W ubiegłém półroczu czytelnia liczyła członków 198. Dzieł w bibliotece znajdowało się 1,298 a zatém w ciągu półrocza przybyło aż 107 już to z darów już to z zakupów. Czasopism było 91 z tych bezpłatnych 62. Co do strony finansowéj, to Czytelnia, nie może się chwalić stanem zbyt świetnym; bądź co bądź jednakowoż, pokryła wydatki, a fundusz żelazny wynosi złr. 67 i centów 70.

— J. I. Kraszewski zapowiedział wydawnictwo kompletnych dzieł Kazimierza z Królówki (Brodzińskiego). Wnioskując z treści prospektu, osobistości wydawcy i wartości utworów Brodzińskiego, jesteśmy pewni, że nie będzie to prosty przedruk, ale staranne zebranie i systematyczne ułożenie utworów, tak już drukowanych, jak i w rękopisach dotąd zostających. Cena tomu tego wydawnictwa oznaczona na rubla jednego.

— Nie wiemy, czy to my tylko mamy takie szczęście, czy też i innym zdarza się coś podobnego, — dość że bardzo często, spotykamy się z konserwatystami, którzy na wszelkie możliwe sposoby, narzekają na czas, w którym żyją, wzdychają za błogą przeszłością, za słonkiem co dawniéj jaśniéj świeciło, za ptaszkami, które weseléj śpiewały, — za groszem co się sam gwałtem cisnął do kieszeni... słowem, gdzie się obrócisz, każdy narzeka, każdemu gorzéj dziś jak wczoraj. Przeszłość dla tych ludzi to wiek złoty, teraźniejszość to pasmo udręczeń... Żyją oni tylko jako przymuszeni... A najgorsza sprawa z tymi idealistami.... Ci uczepiwszy się pozorów, nie wybadając w istotę rzeczy, wykrzykują ciągle na wiek XIX, że to czas materjalizmu, litują się ciągle nad losem ducha, piękna, które w tym wieku kolei żelaznych, telegrafów i ekonomii politycznéj drzemią gdzieś zapomniane, zakrzyczane.... Czy jednak jest tak rzeczywiście? Nie sądzę.

Każdy tylko wiek, każda epoka ma swoje odrębne cechy kierunek, który się we wszystkich tętnach jéj życia jawi i wszystkim faktom współczesnym nadaje barwę temu tylko czasowi właściwą. Zwykle istota ich pozostaje tąż samą, jaką była przed wieki, — własności tylko szczególne, te lub inne, więcéj lub mniéj na jaw występują, — budząc w jednych zajęcie, w drugich odrazę,—podniecając jednych do czynu, drugich do walki i oporu faktom dokonywającym się i będącym wynikiem ducha czasu i prądem chwili obecnéj.

Wiek XIX także ma swoją odrębną cechę;—fakta w nim dokonywane mają właściwy swój charakter;—cała działalność pokoleń obecnych, ma specjalny cel do którego dąży. A jest rzeczą niezawodną, że jeśli się objawia nowy jaki kierunek w społeczeństwie, jeśli ludzkość na nieutarte jeszcze tory cywilizacji wstępuje, zawsze się wytwarza jakieś konserwatywne stronnictwo, które przekłada porządek dawny, choć trochę, jak sami często mówią niewygodny, ale za to pewniejszy, ustalony, które wszystkiemu co tylko piętno nowości nosi, z zasady jest przeciwne. Naturalnie, że ludzie takiego wyznania wiary, muszą być przeciwnikami XIX wieku, który przyznać trzeba w wielu względach dawniéj przyjęte i wiekami uświęcone zasady całkiem porzucił— między którym, a bezpośrednim jego poprzednikiem, taka jest różnica, jak dawniéj między epokami setkami lat oddzielonemi. Że więc jest wielu niezadowolonych dziwić się nie można, tem bardziéj, że są to zwykle ludzie, którzy odegrali już swoje role, — działali w swéj młodości pod wpływem zasad w przeszłym wieku wyrobionych—wierni więc są swemu sztandarowi i zapewne mimo widocznych korzyści nowego kierunku, do śmierci zasługi mu nie przyznają.

Pytamy jednak, czy można stuleciu naszemu zarzucać materjalizm, czyż pojmowanie swego położenia, trzeźwe zapatrywanie się na chwilę obecną i drogę przed nami będącą, zerwaniem z szlachetnemi popędami ducha nazwanem być może?

— Zdaniem naszem, przy zarzucaniu jakich wad lub przyznawaniu przymiotów danemu społeczeństwu, nie można brać za normę ludzi pojedyńczych, ani pewnych klass nawet, gdyż społeczeństwo to organiczna całość jednostek, klass i narodów. Trzeba badać kierunek myśli ogółu, zdać sobie sprawę ze stanu nauk opinii publicznéj, a zrozumiawszy co ona uznaje za dobre lub złe, za moralne, lub niemoralne, wydać dopiero zdanie o charakterze faktów, całość życia społecznego stanowiących. Bo jakkolwiek zasady moralności i dobra społecznego, są niejako na sercach ludzkich wyryte, a jako takie u wszystkich i po wszystkie czasy jedne być powinny, jednakowoż prądy czasu, szczególne okoliczności pewnym faktom życiowym towarzyszące, często anormalności w tym względzie sprowadzają i to właśnie — prawdziwą cechę ducha czasu stanowi.

Aby zaś jakiemu wiekowi materjalizm zarzucać można, trzeba, aby opinja publiczna, wszystkie czyny danéj osobistości, jakiejkolwiek są one natury—byle tylko z jéj interesem były zgodne, za dobre uznawała,—a jeśli znowu, taż osobistość powodując się miłością bliźniego, widocznie swój interes poświęca dla dobra ogółu — aby ją jeśli już nie śmiesznością okrywała, to przynajmniéj żeby jéj odmawiała należnego uznania.

Śledząc objawy dzisiejszéj opinii publicznéj trudno coś podobnego spostrzedz.. Cnota, poświęcenie własnego interesu, byle tylko logiczne i moralny cel mające, zawsze uznaniem powszechnem są nagradzane. Z drugiéj strony, pożądane ich objawy wcale nie są dziś rzadkie. Ileż to bowiem dobroczynnych instytucyj dźwiga się kosztem i staraniem pojedyńczych osobistości lub stowarzyszeń; ileż miljonów ludzi długo w ciemnocie i zapomnieniu żyjących w skutek tego, w ciągu naszego stulecia, zostało z niéj wywiedzionych—ileż szkół i zakładów rękodzielniczych stoi dla nich otworem?

Czyż szalone ubieganie się pewnych tylko klass, lub osobistości za nadmiernemi, choćby niemoralnemi zyskami, zo piętno — za ducha czasu branemi być może? Doprawdy gdybyśmy na jedną szalę położyli te anormalne dążności, a na drugą szlachetne, prawdziwie ludzkie czyny czasów naszych, to ta ostatnia bliższą by była przewagi, niż takaż do wieków średnich np. się odnosząca. A przecież, były to wieki uczucia, wieki szlachetnych czynów i uniesień, dziwnym tylko zbiegiem okoliczności przez dewockie kwilenia zdzierstwa i barbarzyństwa się objawiających.

W takim zestawieniu najlepiéj się uwydatnia dzielność, trzeźwość i intelligencja czasów naszych. Cały więc powód błachych zarzutów, leży w tem, że dziś ludzkość nie daje się powodować wyobraźni i wyegzaltowanym uczuciom,—ale rozumem się rządzi. Uznaną już jest zasada, że interes osobisty dobrze pojęty, egoizm szlachetny, nie jest przeciwny zasadom moralności, ale owszem, kryje w sobie jedno z najobfitszych źródeł postępu.

Na tych zasadach ludzkość wsparta, szybko kroczyć będzie drogą rozwoju, znacząc swój pochód szlachetnemi czyny i gromadząc co coraz większe zastępy czynnych uczestników osiągniętych korzyści. *J. Sw.*

OD REDAKCJI.

Przypominamy Szanownym prenumeratorom o wczesnéj przesełce prenumeraty na kwartał następny, gdyż od tego zależy regularny odbiór numerów naszego pisma; przytém nadmieniamy, że ze względu sposobu pobierania opłaty pocztowéj, wygodniéj by było dla Redakcji, gdyby pp. prenumeratorowie raczyli nadsełać przedpłatę razem na dwa kwartały.

— X. Dziekanowi w Hodorkowie. List w tych dniach dopiero odebraliśmy, żądane książki wkrótce będą wysłane.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis.

☛ Patrz Dodatek.